



4



Nowy Teatr

MIEJSKA POWIEŚĆ ODCINKOWA

2 lutego 2009
Warszawa-Kraków-
Bytom-Wrocław-
Poznań

SŁAWOMIR SHUTY
Odcinek numer

4

MPO

Miejska Powieść Odcinkowa (MPO) to inicjatywa literacka Nowego Teatru w Warszawie, który buduje centrum kulturalne w dawnej bazie Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania na Mokotowie. Wspólnie z Korporacją Ha!art i Kulturą Gniewu będziemy przez dwanaście tygodni dostarczać wam kolejne odcinki horroru miejskiego. Każdy autorstwa innego pisarza. Szukajcie nas w Warszawie, Krakowie, Bytomiu, Wrocławiu i Poznaniu, słuchajcie w Trójce, czytajcie na stronie www.nowyteatr.org

wydawcy:
Nowy Teatr
Korporacja Ha!art

patroni medialni:

korporacja ha!art
wszystko, co się nie opłaca

gazeta

KG
kultura
gniewu

Gazeta.pl

Trójca
KULTURA

EXKLUSIV

– Marność! Marność! Wszystko marność! – do pogrążonych w gorączkowej wymianie zdań grupy osób zbliżał się, zanosząc się przy tym histerycznym śmiechem, zażywny klecha. Tomasz miał wrażenie, że ksiądz jest nieprzyzwoicie pijany, jednak w skrytości ducha, jako człowiek pobożny, wolał wytłumaczyć sobie, że szacowna osoba duchowna nie może być, ot tak, nietrzeźwa. Z pewnością – pomyślał – czuje się odpowiedzialny za swoje owieczki i uczucie to przytłacza go brzemieniem tak ciężkim, że utrudniającym właściwie balansowanie ciałem. Najwyraźniej tak było, bowiem ledwie klecha wgramolił się na stertę zmiętych rur, zaczął atakować powietrze donośnym i poważnym w wymowie przekazem.

– Śmierć! Pożoga! Babilon! Cierpienie! Kara za grzechy! Za rozpustę! Pijaństwo! Złodziejstwo! Krzywoprzysięstwo!

– I homoseksualizm... – dorzucił nieco złośliwie licealista.

Młodzież stała się wyrodna i bezczelna – pomyślał stojący opodal młodzika Tomasz i byłby walnął szczeniaka na odlew, gdyby nie pełne zaabsorbowanie spektaklem serwowanym przez rozentuzjasmowanego księdza. Przemowa była gorączkowa i pełna pasji, co niestety miało też swój aspekt komiczny: przy każdym gwałtownym ruchu pokazny bandzioch trząsał mu się niczym galareta.

– Pan otworzył przed nami swoje cierpiące serce! Jezus Chrystus umarł na krzyżu, zstąpił do piekieł, a krótko potem zmartwychpowstał! – tutaj duchowny zrobił dramatyczną pauzę, która niestety mogła wynikać z tego, że nie wiedział, co powiedzieć dalej. – Co by znaczyło... – zaczął niewyraźnie – ...że... tylko zorganizowane siły światła mogą stawić czoła wszechogarniającej ciemności...

Być może klecha miał rację, pozostałości świata widzialnego rzeczywiście pogrążyły się w mrokach, lecz czy nie była to po prostu ćma nadchodzącego wieczoru? Zaaferowany wypadkami dnia Tomasz dopiero teraz spostrzegł, że godzina stawiała się zdecydowanie późna, a on jeszcze w zasadzie nic dziś do gęby nie włożył...

– Zostaliśmy wybrani spośród sprawiedliwych! Jesteśmy orężem w ręku Pana! Okażmy skruchę! Żałujmy za przewinienia! A następnie ten kolega... – powiedział, wskazując na Tomasza – ...przejdzie z czapką po składce...

– Składka? Dobrze sobie... A na cóż to ta składka? – rzucił zaczepnie pułkownik Godzięba, który okazał się człowiekiem skąpym i małodusznym.

– Na co? – obruszył się ksiądz, tak jakby odpowiedź na to pytanie była oczywista. – Na budowę nowego kościoła! Superkościoła! Kościoła, który stawi czoło królestwu szatana! Zbudujemy supernowoczesną Arkę Pana!

– A gdzie ksiądz chce tą arkę niby budować, co? – wojał był zaczepny, ale klecha nie usłyszał jego pytania, bowiem nagła olśniewająca myśl uderzyła go jak grom z jasnego nieba.

– Cały świat musi stać się domem pana, a my – jego ciałem. Połączywszy siły we wspólnej modlitwie, będziemy egzorcyzmować demona!

– Budujmy arkę! – podchwyciła kobieta w zielonym sweterku. Zewsząd dało się słyszeć głosy, dla których taki pomysł był wyjściem optymalnym, jedynym.

– A ksiądz będzie jej sternikiem, tak? – W głosie pułkownika była wyczuwalna gorzyc wynikająca z utraty przywództwa w stadzie.

– Przeszkadza ci to, kolego? – Tomasz spojrzał na niego zadziornie, rozczarowany tak nieludzką postawą, zdecydowany bronić honoru osoby duchownej.

– Nie będzie mi ta gruba pijanica w czarnej szmacie mówić, co mam robić ze swoim czasem wolnym... – odszczeknęła się pułkownik Godzięba. – Dalejże, na barykady – zadusić plugastwo!

– Do proboszcza z takimi słowami? – obruszyła się krzepka osiemdziesięciolatka. – Ty lewicowa szujo!

– Ty warszawski cwaniaku! – Tomasz czuł się zobowiązany dorzucić przysłowiowe trzy grosze.

– A ty co, przyjezdny? – Godzięba spojrzał na niego wyniośle. – Ha! A więc jednak – chamidło! Wieśniak! Słoma ci z uszu wystaje! Nie masz prawa głosu! – ale zebrani wokół nie byli o tym przekonani i szybko zareagowali, miotając w brunecika soczystymi wyzwiskami. Słyszając grad obelg sypiących się w jego kierunku, pułkownik próbował się odgryzać, lecz szybko załamał się w sobie i umilkł.

– Może lepiej negocjować? – w ciżbie pojawił się głos kogoś umiarkowanego. – Dogadać się z łachudrami, niech się tam snują po ulicach, niech mają swoje kluby, knajpki i domy kultury, niech sabaczą się w burdelu na Wiejskiej, dlaczego miałyby to nam przeszkadzać? Nam – ludziom normalnym?

Tomasz zauważył ze zgrozą, że w trakcie jego wypowiedzi zjawy zajmowały się bezpardonowym plądrowaniem sklepów spożywczo-monopolowych. Dla niego i wszystkich obecnych stało się jasne, że ów rozsądny pomysł to mrzonka, a polityka umiarkowania nie przyniesie tutaj oczekiwanych rezultatów.

W zasadzie do czego im to potrzebne? – zastanawiał się, patrząc na wpół przezroczyście postaci dzwignające zupełnie realne zapasy żywności, i ponura myśl zaświtała mu w głowie: zapasy żywności nie są potrzebne zjawom, ale im, żywym, właśnie po to, żeby oni – żywi – szybko przeistoczyli się w nich – martwych. Wizja ta stała się podwójnie realna, jako że Tomasz cierpiał teraz z braku pożywienia.

Ksiądz tymczasem zebrał się w sobie i odłożywszy na później moment składki, zamierzał pokazać, że to właśnie w ręku Boga (a więc pośrednio i w jego dłoniach) leży los miasta i skupionych wokół owieczek. Zbliżył się więc do najbliższej grupy objuczonych spożywczymi pakunkami widm i pewnym głosem rozkazał:

– W imię Pana nakazuję wam odejść! Precz, mocy nieczysta!

I nie wiadomo – czy to siła zaklęcia była za słaba, czy też sam klecha nie był moralnie wystarczająco czysty, a przez to nie posiadał wystarczających uprawnień egzorcysty z prawdziwego zdarzenia, czy może zjawy były duchami ateistów, dla których Pan, jego męka i śmierć znaczyły mniej niż poranne newsy w jakimś brukowcu – dość, że wokół ciała księdza coś się zakłębiło i nie minęła nawet chwila, a z kotłowaniny wyłonił się makabryczny, przyprawiający o mdłości obraz: demony pałaszowały mózg z otwartej czaszki księdza, jakby była salaterką z budyniem.

Nieoczekiwanie spośród cofających się ludzi wyrwała się dziewczynka w stroju regionalnym, niosąc w dłoniach pęk polnych kwiatów. Tłum wstrzymał oddech – zjawy przyjęły ten miły prezent i z początku nawet wydawały się udobruchane i skore do rozwiązań pokojowych, jednakże po chwili wystanniczka podzieliła los księdza.

W tej chwili dla wszystkich obecnych stało się jasne, że ze zmartwychpowstałym państwem podziemnym nie ma żartów; egzorcyzmy nie dają efektu, a o negocjacjach i przekazie miłości nie może być mowy. Mroczne macki zaczęły zbliżać się w stronę żywych. Grupa ludzi, którzy pod wpływem szoku sami zaczęli przypominać żywe trupy, rozpierzchnęła się w popłochu.

Tomasz wiedział, że powinien dotrzeć do najbliższego lasu i zorganizować tam ruch oporu, co – biorąc pod uwagę wielkość miasta – było wręcz niemożliwe. Pozostało więc tylko zejść niżej, do światów znajdujących się poza postrzeganiem zmysłowym. Przeniknąć do piekła i zaatakować zło jego własną bronią.